



KEN FOLLETT

NOC NAD OCEANEM



ALBATROS

Tytuł oryginału:
NIGHT OVER WATER

Copyright © Ken Follett 1991
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Zbigniew A. Królicki 2014

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Vintage Mechanics/Alamy (góro);
Lordprice Collection/Alamy (dół)

ISBN 978-83-8361-164-8

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

ROZDZIAŁ 1

To był najbardziej romantyczny samolot, jaki kiedykolwiek skonstruowano.

Stojąc o wpół do pierwszej w porcie Southampton, w dniu, w którym wypowiedziano wojnę, Tom Luther spoglądał w niebo, czekając na ten samolot z niecierpliwością i obawą. Raz po raz nucił pod nosem fragment *V koncertu fortepianowego Es-dur* Beethovena. Te poruszające pierwsze takty pasowały do wojennego klimatu.

Wokół stał tłum gapiów: entuzjastów lotnictwa z lornetkami, podrostków i łowców sensacji. Luther wyliczył, że hydroplan Pan American już chyba dziewiąty raz ląduje na wodach portu Southampton, ale urok nowości jeszcze nie przygasł. Ten samolot był tak fascynującą i piękną maszyną, że ludzie zbiegli się, żeby go oglądać, nawet w dniu, w którym ich kraj przystąpił do wojny. Obok stały przycumowane dwa ogromne i wspaniałe statki pasażerskie, lecz te pływające hotele straciły powab. Wszyscy spoglądali w niebo.

Jednak czekając, rozmawiali o wojnie, mówiąc z wyraźnym angielskim akcentem. Dzieci wyglądały na podekscytowane, mężczyźni przyciszonymi głosami rozprawiali ze znanstwem o czołgach i artylerii, a kobiety przybrały ponure miny. Luther był Amerykaninem i miał nadzieję, że jego kraj nie przystąpi do wojny. Nic im do tego, co dzieje się w Europie. Ponadto jedno przemawiało za nazistami: zwalczali komunizm.

Luther był biznesmenem, producentem tkanin wełnianych, i swego czasu miał w należących do niego fabrykach spore kłopoty z czerwonymi. Zdany na ich łaskę omal nie zbankrutował. Nadal myślał o tym z goryczą. Sklep odzieżowy jego ojca wykończyła żydowska konkurencja, a później istnieniu Luther Woolens zagroziły komuchy – w większości Żydzi! Ale wtedy Luther poznał Raya Patriarcę i wszystko się zmieniło. Ludzie Patriarki wiedzieli, jak radzić sobie z komunistami. Po prostu zdarzyło się kilka nieszczęśliwych wypadków. Pewnemu mściwodziu krosno urwało dłoń. Działacz związkowy zginął, przejechany przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku. Dwaj robotnicy, narzekający na łamanie przepisów bezpieczeństwa, wdali się w bójkę w barze i wylądowali w szpitalu. Pewna sprawiająca kłopoty kobieta wycofała pozew sądowy przeciwko firmie, kiedy spłonął jej dom. Trwało to tylko kilka tygodni i od tamtej pory nie było już żadnych problemów. Patriarca wiedział to co Hitler: komunistów trzeba rozdeptać jak karaluchy. Luther tupnął nogą, wciąż nucąc Beethovena.

Z przystani hydroplanów Imperial Airways przy Hythe, po drugiej stronie zatoki, odbiła łódź i kilkakrotnie przepłynęła akwen, szukając dryfujących przedmiotów. Tłum wydał pomruk podniecenia: najwidoczniej hydroplan był blisko.

Pierwszy zauważył go chłopczyk w dużych nowych butach. Nie miał lornetki, ale jego wzrok jedenastolatka był lepszy od lunety.

– Tam leci! – wrzasnął. – Tam leci Clipper!

Pokazał na południowy zachód. Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku. Z początku Luther dostrzegł jedynie niewyraźną plamkę, która mogła być ptakiem, lecz wkrótce stała się dobrze widoczna i przez tłum przeszedł szmer podniecenia, gdy ludzie mówili sobie, że chłopiec ma rację.

Wszyscy nazywali tę maszynę Clipperem, ale formalnie był to boeing B-314. Pan American zlecił Boeingowi skonstruowanie samolotu mogącego przewozić pasażerów przez Atlantyk w luksusowych warunkach i w efekcie powstał ogromny, majestatyczny, niewiarygodnie potężny powietrzny pałac.

Linia lotnicza zakupiła ich sześć i zamówiła sześć następnych. Komfortem i elegancją dorównywały słynnym oceanicznym liniowcom cumującym w Southampton, lecz przeprawa przez Atlantyk zajmowała statkom cztery do pięciu dni, natomiast hydroplan mógł pokonać tę odległość w dwadzieścia pięć do trzydziestu godzin.

Wygląda jak skrzydlaty wieloryb, pomyślał Luther, gdy samolot się zbliżał. Clipper miał wielki i kanciasty pysk kaszalota, masywny korpus i sterczący ogon, zakończony bliźniaczymi wysokimi płetwami. Potężne silniki były wbudowane w skrzydła. Poniżej skrzydeł znajdowały się dwa grube i krótkie stateczniki, stabilizujące samolot na wodzie. Od spodu kadłub miał ostrą jak nóż krawędź, przypominającą kil statku.

Niebawem Luther dojrzał duże prostokątne okna, rozmieszczone w dwóch nieregularnych rzędach biegnących wzdłuż górnego i dolnego pokładu. Dokładnie tydzień wcześniej przyleciał Clipperem do Anglii, więc znał rozkład jego wnętrza. Górny pokład składał się z kabiny pilotów i luku bagażowego, a dolny był pokładem pasażerskim, jednak zamiast wstawić rzędy foteli, podzielono go na łóże z rozkładanymi kanapami. W porach posiłków salon zmieniał się w jadalnię, a na noc kanapy rozkładano do spania.

Zrobiono wszystko, aby odizolować pasażerów od świata i pogody za oknami. Były tam grube dywany, aksamitne draperie, lampy rzucające łagodne światło i meble z miękką tapicerką. Solidna warstwa wyciszająca zmniejszała ryk potężnych silników do krzepiącego odległego pomruku. Kapitan był opanowany i władczy, załoga rześka i elegancka w swych mundurach Pan American, stewardzi zawsze troskliwi. Zadbano o wszelkie potrzeby. Wciąż podawano napoje i zakąski. Czegokolwiek zapragnąłeś, pojawiało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaledwie o tym pomyślałeś: łóżko z zaciągniętymi zasłonkami po kolacji, świeże truskawki na śniadanie. Świat na zewnątrz zaczynał wydawać się nierealny jak film wyświetlany w oknach. To wnętrze samolotu było wszechświatem.

Oczywiście takie wygody nie mogły być tanie. Podróż w obie strony kosztowała sześćset siedemdziesiąt pięć dolarów, czyli tyle co pół małego domu. Pasażerami byli członkowie rodzin królewskich, gwiazdy filmowe, prezesi dużych korporacji i prezydenci małych krajów.

Tom Luther nie należał do żadnego z tych elitarnych kręgów. Był bogaty, ale swój majątek zdobył ciężką pracą i zwykle nie trwonił go na luksusy. Mimo to musiał zaznajomić się z tym samolotem. Poproszono go o wykonanie niebezpiecznej roboty dla pewnego wpływowego – a nawet bardzo wpływowego – człowieka. Za tę pracę nie otrzyma zapłaty, lecz przysługa wyświadczona takiemu człowiekowi ma większą wartość niż pieniądze.

To zadanie mogło jeszcze zostać odwołane: Luther czekał na wiadomość z ostatecznym potwierdzeniem. Chętnie wykonałby zlecenie, a jednocześnie miał nadzieję, że nie będzie musiał.

Samolot schodził pod ostrym kątem, z uniesionym ogonem. Był już całkiem blisko i jego ogromne rozmiary ponownie zrobiły wrażenie na Lutherze. Wiedział, że boeing ma trzydzieści trzy metry długości, a rozpiętość jego skrzydeł wynosi czterdzieści sześć metrów, ale te dane pozostawały tylko liczbami, dopóki nie zobaczyłeś, jak to cholerstwo płynie w powietrzu.

Przez moment wydawało się, że nie leci, lecz spada niczym ciśnień kamień, by uderzyć w powierzchnię morza i zatonać. Potem zawisł w powietrzu jak opuszczany na sznurku, trzymając wszystkich w niepewności. W końcu dotknął wody, rozpryskując grzbiety fal niczym płasko rzucony kamyk i wzbijając gejzery piany. Jednak w osłoniętym porcie fala była niewielka, toteż w następnej chwili w fontannie rozbryzgów przypominającej eksplozję kadłub opadł na wodę.

Kiedy przeciął powierzchnię, pozostawiając za sobą białą brudę w zielonej toni i wzbijając po bokach dwie wysokie bliźniacze fale, Lutherowi przypomniła się kaczka krzyżówka lądująca na jeziorze z rozłożonymi skrzydłami i podkulonymi

nogami. Kadłub zapadł w toń, rozbryzgując wodę, która niczym dwa żagle unosila się po jego prawej i lewej stronie, a potem dziób zaczął się pochylać. Fontanna kropel wytrysnęła jeszcze wyżej, gdy samolot wyrównał, zanurzając głębiej swój wielorybi brzuch. W końcu cały dziób obmyły spienione grzywce. Nagle kurtyny wzbijanej wody opadły, a hydroplan zwolnił i zaczął płynąć po morzu jak statek, tak spokojnie, jakby nigdy nie zamierzał wzbić się w przestworza.

Luther uświadomił sobie, że wstrzymywał oddech, i wypuścił powietrze z westchnieniem ulgi. Znow zaczął nucić pod nosem.

Boeing podpływał do przystani. Luther wysiadł tam tydzień wcześniej. Przystań była specjalnie zaprojektowaną tratwą z dwoma bliźniaczymi pomostami. Za kilka minut liny przewlecze się przez uchwyty z przodu i z tyłu, po czym samolot zostanie wciągnięty tyłem pomiędzy te pirsy. Wtedy pasażerowie zaczną wysiadać, wychodząc przez drzwi na powierzchnię szerokiego statecznika, potem na tratwę, a z niej po trapie na stały ląd.

Luther odwrócił się i nagle znieruchomiał. Tuż przy nim stał ktoś, kogo wcześniej nie zauważył: mężczyzna jego wzrostu, w ciemnoszarym garniturze i meloniku, wyglądający jak urzędnik w drodze do biura. Luther już miał odejść, ale spojrzał na niego ponownie. Twarz pod rondem kapelusza nie była twarzą urzędnika. Mężczyzna miał wysokie czoło, jasnoniebieskie oczy, wydatną szczękę i cienkie wargi okrutnika. Był starszy niż Luther, około czterdziestki, ale barczysty i najwyraźniej w dobrej formie. Wyglądał na niebezpiecznego. Spojrzał Lutherowi w oczy.

Luther przestał nucić.

- Jestem Henry Faber – powiedział nieznajomy.
- Tom Luther.
- Mam dla ciebie wiadomość.

Serce Luthera zaczęło bić szybciej. Usiłował ukryć podniecenie i mówić równie lakonicznie jak tamten.

- Dobrze. Słucham.

– Człowiek, który tak cię interesuje, będzie w środę na pokładzie tego samolotu odlatującego do Nowego Jorku.

– Na pewno?

Właściciel melonika spiorunował go wzrokiem i nie odpowiedział.

Luther ponuro skinął głową. Zatem zadanie było aktualne. Przynajmniej wątpliwości się rozwiały.

– Dziękuję – rzekł.

– To nie wszystko.

– Słucham.

– Druga część tej wiadomości brzmi: nie zawieź nas.

Luther zaczerpnął tchu.

– Powiedz im, żeby się nie martwili – rzucił z udawaną pewnością siebie. – Ten gość może opuści Southampton, ale nie dotrze do Nowego Jorku.

*

Brytyjskie linie lotnicze Imperial Airways miały dok latających łodzi po drugiej stronie zatoki, naprzeciwko Southampton Docks. To właśnie tam technicy sprawdzali Clippera, nadzorowani przez mechanika pokładowego Pan American. Podczas tego rejsu był nim Eddie Deakin.

Kontrola musiała być wyjątkowo staranna, ale mieli na nią trzy dni. Po wysadzeniu pasażerów na przystani numer sto osiem Clipper podpłynął do Hythe. Tam, wciąż w wodzie, został umocowany na platformie transportowej, a następnie wciągnięty po pochylni i odholowany jak wieloryb balansujący na dziecięcym wózku do ogromnego zielonego hangaru.

Przelot transatlantycki był poważnym obciążeniem dla silników. Pokonując najdłuższy odcinek trasy z Nowej Fundlandii do Irlandii, samolot był w powietrzu przez dziewięć godzin (a w drodze powrotnej, z przeciwnym wiatrem, pokonanie tego samego odcinka trwało szesnaście i pół godziny). Przez cały ten czas płynęło paliwo, świece dawały iskry, czternaście cylindrów każdego wielkiego silnika poruszało się niestrudzenie tam i z powrotem, a czteroipółmetrowe śmigła męły chmury,

deszcz i wiatr.

Zdaniem Eddiego na tym właśnie polegał romantyzm pracy mechanika. Jakie to cudowne i zdumiewające, że ludzie potrafią tworzyć maszyny, które całymi godzinami mogą pracować tak doskonale i dokładnie. Tyle rzeczy mogło się zepsuć, tyle ruchomych części trzeba było precyzyjnie wytworzyć i idealnie dopasować, żeby nie pękły, nie wyłamały się, nie zatarły ani nie zużyły, przenosząc trzydziestosiedm التونowy samolot tyśiące kilometrów dalej.

W śróde rano Clipper miał być znów gotowy do takiej drogi.

ROZDZIAŁ 2

Wojna wybuchła w pogodną, ciepłą i słoneczną niedzielę pod koniec lata.

Kilka minut przed tym, zanim podano tę wiadomość przez radio, Margaret Oxenford stała przed okazałą rezydencją z cegły będącą jej rodzinnym domem, lekko spocona w płaszczu i kapeluszu, rozgniewana tym, że musi pójść do kościoła.

Margaret nie znosiła kościoła, ale ojciec nie pozwalał jej opuszczać mszy, chociaż miała już dziewiętnaście lat i mogła mieć swoje zdanie o religii. Mniej więcej przed rokiem zebrała się na odwagę i powiedziała mu, że nie chce uczestniczyć w nabożeństwach, lecz nie zamierzał jej słuchać.

– Nie uważasz, że to hipokryzja chodzić do kościoła, chociaż nie wierzy się w Boga? – zapytała Margaret.

– Nie bądź śmieszna – odparł ojciec.

Pokonana i rozgniewana, powiedziała matce, że kiedy będzie pełnoletnia, już nigdy więcej nie pójdzie do kościoła.

– O tym zdecyduje twój mąż, moja droga – oświadczyła matka.

Zdaniem rodziców to zakończyło dyskusję, lecz od tej pory Margaret dostawała białej gorączki w każdy niedzielny ranek.

Jej siostra i brat wyszli z domu. Elizabeth miała dwadzieścia jeden lat. Była wysoka, niezgrabna i niezbyt ładna. Kiedyś siostry wiedziały o sobie wszystko. Jako dziewczęta latami przebywały razem, gdyż nie chodziły do szkoły, ale odbierały

wątpliwej jakości edukację domową, nauczane przez guwer-
nantki i prywatnych nauczycieli. Zawsze znały swoje sekrety.
Później oddaliły się od siebie. Dorastająca Elizabeth chętnie
przyjęła skostniałe tradycyjne wartości rodziców: była ultra-
konserwatywną, zacieklą rojalistką, głuchą na nowe idee
i wrogą wszelkim zmianom. Margaret poszła zupełnie inną
drogą. Była feministką i socjalistką, interesowała się jazzem,
kubizmem i nowoczesną poezją, w której nie obowiązywały
żadne schematy. Elizabeth uważała, że przyjmując tak radykal-
ne poglądy, Margaret jest niełojalna wobec rodziny. Głupota
siostry irytowała Margaret, lecz smuciło ją i denerwowało to,
że nie są już tak dobrymi przyjaciółkami. Nie miała ich wiele.

Percy skończył czternaście lat. Nie był ani za radykalnymi
ideami, ani przeciw nim, ale jako urodzony łobuziak sympaty-
zował z buntowniczą Margaret. Wspólnie cierpiąc z powodu
tyranii ojca, lubili się i wspierali, i Margaret bardzo go kocha-
ła.

Ich rodzice wyszli chwilę później. Ojciec założył ten ohyd-
ny pomarańczowo-zielony krawat. Praktycznie był daltoni-
stą, zapewne kupiła mu go matka. Sama miała rude włosy,
oczy barwy morskiej toni i bladą cerę, więc prezentowała się
ośniewająco w takich kolorach jak pomarańczowy i zielony,
ale przy siwiejących czarnych włosach i rumianych policzkach
ojca krawat wyglądał jak znak ostrzegawczy.

Elizabeth ze swoimi czarnymi włosami i nieregularnymi
rysami twarzy była podobna do ojca. Margaret przypomina-
ła matkę: pasowałby jej jedwabny szal w którymś z kolorów
krawata ojca. Percy zmieniał się tak szybko, że nikt nie mógł
powiedzieć, do kogo w końcu będzie podobny.

Ruszyli długim podjazdem do wioski za bramą. Ojciec był
właścicielem większości domów i wszystkich pól uprawnych
w promieniu wielu kilometrów. Nic nie zrobił, żeby zdobyć
takie bogactwo: to małżeństwa zawarte na początku dzie-
więtnastego wieku połączyły trzy najważniejsze ziemiańskie
rodziny w hrabstwie, a powstałe w ten sposób olbrzymie
włości były później przekazywane w całości z pokolenia na

pokolenie.

Przeszli wiejską ulicą i ścieżką przecinającą trawnik, który okalał kościół z szarego kamienia. Do środka weszli kolejno: najpierw ojciec i matka, za nimi Margaret z Elizabeth, a Percy zamykał pochód. Obecni w kościele wieśniacy kłaniali się w pas, gdy Oxenfordowie szli nawą do swojej ławki. Bogatsi farmerzy, wszyscy dzierżawiący ziemię od ojca, uprzejmie pochyłali głowy, a przedstawiciele klasy średniej – doktor Rowan, pułkownik Smythe i sir Alfred – kłaniali się z szacunkiem. Ten śmieszny feudalny rytuał za każdym razem wprowadzał Margaret w zakłopotanie. Podobno przed Bogiem wszyscy ludzie są równi, czyż nie? Miała ochotę zawołać: „Mój ojciec nie jest lepszy od żadnego z was i znacznie gorszy niż większość!”. Może pewnego dnia zdobędzie się na odwagę. Gdyby urządziła taką scenę w kościele, niewykluczone, że już nigdy nie musiałaby tu przychodzić. Jednak zbyt się obawiała tego, co zrobiłby wtedy ojciec.

Gdy wchodzili do swojej ławki i oczy wszystkich były zwrócone na nich, Percy powiedział scenicznym szeptem:

– Ładny krawat, ojczu.

Margaret zdołała nie parsknąć śmiechem i tylko cicho zachichotała. Razem z Percym pośpiesznie usiedli i pochylili głowy, udając, że się modlą, dopóki się nie uspokoili. Po tym Margaret poczuła się lepiej.

Pastor wygłosił kazanie o synu marnotrawnym. Margaret pomyślała, że ten głupi stary oferma mógłby wybrać temat bardziej związany z tym, czym martwili się wszyscy: prawdopodobieństwem wybuchu wojny. Premier postawił Hitlerowi ultimatum, które Führer zignorował, i w każdej chwili oczekiwano wypowiedzenia wojny.

Margaret lękała się wojny. Chłopiec, którego kochała, zginął podczas wojny domowej w Hiszpanii. Stało się to ponad rok temu, lecz wciąż czasem płakała w nocy. Dla niej wojna oznaczała to, że tysiące innych dziewcząt zaznają żalu, jaki rozdierał jej serce. Ta myśl była niemal nie do zniesienia.

A jednak inna część jej duszy pragnęła tej wojny. Przez całe

lata dręczyło ją wspomnienie brytyjskiego tchórzostwa podczas walk w Hiszpanii. Jej kraj stał z boku i biernie patrzył, gdy praworządnie wybrany socjalistyczny rząd został obalony przez bandę łotrów uzbrojonych przez Hitlera i Mussoliniego. Setki młodych idealistów z całej Europy pojechały do Hiszpanii, aby walczyć o demokrację. Jednak brakowało im broni, a demokratyczne rządy innych państw nie chciały jej dostarczyć, tak więc tracili życie, a ludziom takim jak Margaret pozostawały jedynie gniew, wstyd i poczucie bezsilności. Gdyby Wielka Brytania przeciwstawiła się teraz faszystom, Margaret znów mogłaby być dumna ze swojej ojczyzny.

Był jeszcze inny powód tego, że serce rosło jej w piersi na myśl o wojnie. Ta z pewnością oznaczałaby koniec monotonnego życia, jakie wiodła ze swoimi rodzicami. Była znudzona i sfrustrowana tymi ich niezmiennymi rytuałami i bezsensiem życia towarzyskiego. Marzyła, by uciec i żyć po swojemu, lecz wydawało się to niemożliwe: była nieletnia, nie miała pieniędzy ani kwalifikacji do żadnej pracy. Jednak, pomyślała z nadzieją, gdy wybuchnie wojna, wszystko na pewno się zmieni.

Zafascynowana czytała o tym, jak podczas ostatniej wojny kobiety nosiły spodnie i pracowały w fabrykach. Nawet teraz kobiece oddziały wchodziły w skład sił lądowych, powietrznych i marynarki. Margaret marzyła o zgłoszeniu się na ochotnika do Auxiliary Territorial Service, czyli kobiecej służby wojskowej. Jedną z niewielu praktycznych umiejętności, jakie posiadała, było prowadzenie pojazdów mechanicznych. Szofer ojca, Digby, nauczył ją jeździć rollsem, a Ian, chłopak zabity na wojnie, pozwalał jej prowadzić swój motocykl. Niewykluczone, że poradziłaby sobie nawet z motorówką, ponieważ ojciec miał niewielki jacht w Nicei. ATS potrzebowała kierowców ambulansów i gońców jeżdżących na motocyklach. Margaret już widziała się w mundurze i hełmie, siedzącą na motorze i błyskawicznie przewożącą pilne raporty z jednego pola bitwy na drugie, z fotografią Iana w kieszonce na piersi swej koszuli khaki. Była pewna, że wykazałaby się odwagą, gdyby miała szansę.

Później odkryli, że wojnę wypowiedziano wtedy, gdy trwała msza. W jej trakcie, dwadzieścia osiem minut po jedenastej, włączono nawet alarm przeciwlotniczy, lecz w wiosce go nie usłyszano, a poza tym był fałszywy. Tak więc rodzina Oxenfordów wróciła do domu z kościoła nieświadoma tego, że rozpoczęto wojnę z Niemcami.

Percy chciał wziąć broń i zapolować na króliki. Wszyscy w rodzinie umieli strzelać: był to ich ulubiony sport, niemal obsesja. Oczywiście ojciec się na to nie zgodził, ponieważ nie uchodziło strzelać w niedzielę. Percy był rozczarowany, ale posłuchał. Chociaż zachowywał się niesforne, jeszcze nie miał dość odwagi, by otwarcie sprzeciwiać się ojcu.

Margaret uwielbiała psoty brata. Był jedynym promykiem słońca w jej ponurym życiu. Często żałowała, że nie potrafił kpić z ojca tak, jak robił to Percy, i śmiać się za jego plecami, była jednak zbyt poirytowana, żeby z tego żartować.

W domu ze zdumieniem zastali bosą pokojówkę podlewającą kwiaty w holu. Ojciec jej nie rozpoznał.

– Kim jesteś? – zapytał ostro.

– Nazywa się Jenkins – wyjaśniła spokojnie matka. W jej głosie słychać było amerykański akcent. – Zaczęła pracę w tym tygodniu.

Dziewczyna dygnęła.

– A gdzie, do diabła, są jej buty? – zapytał ojciec.

Cień podejrzenia przemknął po twarzy dziewczyny, która oskarżycielsko spojrzała na Percy'ego.

– Przepraszam, wasza lordowska mość, to młody lord Isley.

Percy nosił tytuł earla Isley.

– Powiedział mi, że pokojówki w niedziele muszą chodzić boso, żeby okazać szacunek.

Matka westchnęła, a ojciec wydał z siebie gniewny pomruk. Margaret nie zdołała powstrzymać chichotu. To była ulubiona sztuczka Percy'ego: informowanie nowych służących o wymyślonych zasadach obowiązujących w domu. Przekazywał im nieprawdziwe informacje ze śmiertelnie poważną

miną, a ponieważ ich rodzina miała opinię ekscentryków, ludzie byli gotowi uwierzyć we wszystko.

Percy często rozśmieszał Margaret, ale teraz było jej żal tej biednej pokojówki, która stała boso w holu i czuła się głupio.

– Idź i włóż buty – poleciła jej matka.

– I nigdy nie wierz lordowi Isley – dodała Margaret.

Zdjęli kapelusze i weszli do salonu. Margaret pociągnęła brata za włosy.

– To było złośliwe – syknęła.

Percy tylko się uśmiechnął – był niepoprawny. Kiedyś powiedział pastorowi, że ojciec umarł w nocy na atak serca, i w całej wiosce ogłoszono żałobę, zanim odkryto, że to nieprawda.

Ojciec włączył radio i wtedy usłyszeli wiadomość: Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom.

Margaret poczuła, że wzbiera w niej dzika radość, jak podniecenie wywołane zbyt szybką jazdą lub wspinaczką na czubek wysokiego drzewa. Koniec z dręczącą niepewnością. Będą tragedie i cierpienia, pojawią się ból i smutek, ale tego nie da się uniknąć. Wyzwanie zostało rzucone i teraz można było tylko walczyć. Na samą myśl o tym serce zaczęło jej szybciej bić. Wszystko się zmieni. Konwenanse zostaną odrzucone, kobiety wezmą udział w tej walce, znikną podziały klasowe i wszyscy będą pracować razem. Już czuła smak wolności. I będą walczyć z faszystami, ludźmi, którzy zabili biednego Iana i tysiące innych dzielnych młodych mężczyzn. Margaret nie uważała się za mściwą, lecz na myśl o walce z nazistami ogarniała ją żądza zemsty. To było całkiem nowe uczucie: przerażające i podniecające.

Ojciec wpadł we wściekłość. Przysadzisty i rumiany, kiedy się złościł, wyglądał, jakby zaraz miał pęknąć.

– Przeklęty Chamberlain! – warknął. – Niech szlag trafi tego nędznika!

– Algernonie, proszę – powiedziała matka, karcąc go za te nieparlamentarne słowa.

Ojciec współtworzył Brytyjską Unię Faszystów. Wtedy był

innym człowiekiem: nie tylko młodszym, ale także szczuplejszym, przystojniejszym i mniej wybuchowym. Umiał czarować ludzi i zdobywać ich zaufanie. Napisał kontrowersyjną książkę zatytułowaną *Kundle: groźba skażenia rasy*, o tym, jak cywilizacja podupada, odkąd biali ludzie zaczęli płodzić dzieci z Żydami, Azjatami, a nawet z Murzynami. Korespondował z Adolfem Hitlerem, którego uważał za największego męża stanu od czasu Napoleona. W każdy weekend w domu odbywały się wielkie przyjęcia z udziałem polityków, zagranicznych dyplomatów i – w jednym niezapomnianym wypadku – króla. Dyskusje trwały do późnej nocy, kamerdyner przynosił z piwnicy kolejne butelki brandy, a lokaje ziewali w holu. Przez cały okres recesji ojciec czekał, aż ojczyzna wezwie go na ratunek i poprosi, by został premierem rządu odbudowy kraju. Jednak to wezwanie nigdy nie nadeszło. Weekendowe przyjęcia były coraz rzadsze i skromniejsze, co szacowniejsi goście w różny sposób publicznie odcięli się od Brytyjskiej Unii Faszystów i ojciec stał się rozgoryczonym, rozczarowanym człowiekiem. Wraz z pewnością siebie stracił swój czarujący sposób bycia, zniechęcenie, nuda i alkohol odcisnęły piętno na atrakcyjnym niegdyś wyglądzie, a jego intelekt nigdy nie był wysokiego lotu. Margaret przeczytała książkę ojca i zszokowana odkryła, że nie tylko się mylił, ale po prostu był głupi.

W ostatnich latach jego program polityczny skurczył się do jednej obsesyjnej idei: Wielka Brytania i Niemcy powinny się zjednoczyć przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Głosił to w artykułach prasowych i listach do redakcji gazet oraz przy tych coraz rzadszych okazjach, gdy zapraszano go, aby przemawiał na wiecach lub zebraniach uniwersyteckich klubów dyskusyjnych. Uparcie trwał przy tym poglądzie, kiedy wydarzenia w Europie czyniły ten pomysł coraz mniej realnym. Wypowiedzenie wojny Niemcom ostatecznie przekreśliło jego nadzieje i Margaret znalazła w swoim sercu odrobinę litości dla niego, pośród wszystkich innych gwałtownych emocji.

– Wielka Brytania i Niemcy zniszczą się nawzajem i zostawią Europę na pastwę ateistycznego komunizmu! – oświadczył.

Wzmianka o ateizmie przypomniła Margaret, że zmuszono ją do chodzenia do kościoła.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzuciła. – Jestem ateistką.

– Nie możesz nią być, moja droga – orzekła matka. – Jesteś protestantką.

Margaret nie zdołała powstrzymać śmiechu.

– Jak możesz się śmiać? – zapytała Elizabeth, bliska łez. – To tragedia!

Elizabeth podziwiała nazistów. Mówiła po niemiecku – obie znały ten język, dzięki niemieckiej guwernantce, która przetrwała dłużej od innych – i kilkakrotnie była w Berlinie, a dwukrotnie jadła obiad z samym Führerem. Margaret podejrzewała, że naziści są snobami, aprobata zaś angielskiej arystokracji lechta ich próżność.

– Czas, żebyśmy powstrzymali tych łobuzów – powiedziała siostrze.

– Nie są łobuzami – odparła z urazą Elizabeth. – Są dumnymi, silnymi, czystej krwi Aryjczykami i to tragedia, że nasz kraj wypowiedział im wojnę. Ojciec ma rację: biali ludzie wymordują się wzajemnie i świat opanują mieszkańcy oraz Żydzi.

Margaret nie cierpiała słuchać tego bełkotu.

– Żydzi są w porządku! – oznajmiła zapalczywie.

Ojciec podniósł palec.

– Żydzi są w porządku, jeśli znają swoje miejsce.

– Czyli pod butem w waszym... waszym faszystowskim ustroju.

O mało nie powiedziała „waszym parszywym ustroju”, ale nagle przelewała się i ugryzła w język. Lepiej zaniechać rozłościć ojca.

– A w twoim bolszewickim ustroju Żydzi rządzą państwem! – odparowała Elizabeth.

– Daleko mi do bolszewików. Jestem socjalistką.

– Nie możesz nią być, moja droga – rzekł Percy, naśladowając akcent matki. – Jesteś protestantką.

Margaret mimo woli roześmiała się i jej śmiech znów

rozżłościł siostrę.

– Ty po prostu chcesz zniszczyć wszystko, co jest dobre i czyste, a potem śmiać się z tego! – zjadliwie rzuciła Elizabeth.

To oskarżenie nie było godne riposty, lecz Margaret wciąż chciała dowieść swojej racji. Zwróciła się do ojca:

– No cóż, w każdym razie zgadzam się z tobą co do Neville’a Chamberlaina. Znacznie pogorszył naszą sytuację, pozwalając faszystom zająć Hiszpanię. Teraz nieprzyjaciół jest nie tylko na wschodzie, ale i na zachodzie.

– To nieprawda, że Chamberlain pozwolił faszystom zająć Hiszpanię – zaoponował ojciec. – Wielka Brytania zadeklarowała politykę nieinterwencji, podobnie jak Niemcy, Włochy i Francja. My tylko dotrzyaliśmy słowa.

To była czysta hipokryzja i dobrze o tym wiedział. Margaret aż poczerwieniała z oburzenia.

– Dotrzyaliśmy słowa, gdy Włosi i Niemcy je złamali! – zaprotestowała. – Dlatego faszyci mieli broń, a demokraci nie mieli nic... prócz bohaterów.

Zapadła niezręczna cisza.

– Tak mi przykro, że Ian zginął – odezwała się w końcu matka – ale miał na ciebie bardzo zły wpływ.

W jednej chwili oczy Margaret napełniły się łzami.

Ian Rochdale był najlepszym, co zdarzyło się w jej życiu, i ból na wspomnienie jego śmierci wciąż pozbawiał ją tchu.

Latami tańczyła na balach z pustogłowymi młodymi paniczami, którzy myśleli tylko o piciu i polowaniu, i rozpaczliwie marzyła, aby poznać rówieśnika, który by ją zainteresował. Ian pojawił się w jej życiu niczym iskra nadziei, a kiedy zginął, pograżyła się w ciemnościach.

Był na ostatnim roku studiów w Oxfordzie. Margaret bardzo chciałaby pójść na studia, ale nie miała szans się zakwalifikować: nigdy nie chodziła do szkoły. Jednak dużo czytała – bo nie miała nic innego do roboty! – i była urzeczona, spotkawszy kogoś, kto tak jak ona lubił rozmawiać o ideach. On jeden potrafił jej coś wytłumaczyć, nie zachowując się przy tym protekcjonalnie. Był najtrzeźwiej myślącą osobą, jaką знаła,

bezgranicznie cierpliwym rozmówcą bez odrobiny intelektualnej próżności i nigdy nie udawał, że coś rozumie, jeśli nie rozumiał. Uwielbiała go od pierwszej chwili.

Długo nie uważała tego za miłość. Jednak pewnego dnia Ian wyznał, niezręcznie i bardzo zmieszany, w nietypowy dla siebie sposób z trudem znajdując właściwe słowa: „Myślę, że się w tobie zakochałem. Czy to wszystko zepsuje?”. Wtedy z radością uświadomiła sobie, że ona też jest zakochana.

Odmienił jej życie. Jakby przeniosła się do nieznanego kraju, gdzie wszystko było inne: krajobraz, pogoda, ludzie, pożywienie. Rozpierała ją radość. Ciasne ramy konwenansów i denerwujące aspekty zamieszkiwania z rodzicami wydawały się mało ważne.

Nawet kiedy wstąpił do Brygad Międzynarodowych i pojechał do Hiszpanii walczyć z faszystowskimi buntownikami, próbującymi obalić demokratycznie wybrany socjalistyczny rząd, nadal rozświeślał jej życie. Była z niego dumna, ponieważ miał odwagę bronić swoich przekonań i był gotowy ryzykować życie dla sprawy, w którą wierzył. Czasem dostawała od niego listy. Raz przysłał jej wiersz. Potem przyszło zawiadomienie, że zginął, rozerwany na kawałki wybuchem pocisku, i Margaret poczuła, że jej życie się skończyło.

– Zły wpływ – powtórzyła z goryczą. – Tak. Nauczył mnie kwestionować dogmaty, nie wierzyć w kłamstwa, nienawidzić ignorancji i gardzić hipokryzją. W rezultacie nie pasuję do cywilizowanego społeczeństwa.

Ojciec, matka i Elizabeth zaczęli mówić wszyscy naraz, a potem zamilkli, ponieważ zagłuszali się wzajemnie, i w nagłej ciszy odezwał się Percy.

– Skoro mowa o Żydach – rzucił – znalazłem dziwne zdjęcie w piwnicy, w jednej z tych starych walizek ze Stamford.

W Stamford w stanie Connecticut mieszkała rodzina matki. Percy wyjął z kieszeni koszuli pomiętą i wyblakłą fotografię w kolorze sepii.

– Miałem prababcię, która nazywała się Ruth Glencarry, prawda?

– Tak – odparła matka. – To była moja babcia. Co takiego znalazłeś, mój drogi?

Percy podał fotografię ojcu i wszyscy otoczyli go, żeby na nią spojrzeć. Przedstawiała scenę uliczną sprzed około siedemdziesięciu lat w jakimś amerykańskim mieście, zapewne w Nowym Jorku. Na pierwszym planie trzydziestoletni Żyd z czarną brodą, w samodzielnym ubraniu roboczym i kapeluszu pozował przy wózku z kołem szlifierskim. Na wózku widniał wyraźny napis: REUBEN FISHBEIN – SZLIFIERZ. Obok mężczyzny stała dziewczynka w brzydkiej bawełnianej sukience i ciężkich buciorach.

– Co to ma być, Percy? – zapytał ojciec. – Kim są ci nędzarze?

– Sprawdź z tyłu – rzekł Percy.

Ojciec odwrócił fotografię. Było tam napisane: RUTHIE GLENCARRY, Z DOMU FISHBEIN, LAT 10. Margaret spojrzała na ojca. Był głęboko wstrząśnięty.

– To ciekawe – powiedział Percy – że dziadek mamy poślubił córkę ubogiego żydowskiego ostrzyciela noży, ale mówią, że w Ameryce tak bywa.

– To niemożliwe! – rzekł ojciec, lecz głos mu zadrżał i Margaret odgadła, że było to jak najbardziej możliwe.

– W każdym razie – ciągnął Percy wesoło – żydowskie pochodzenie jest dziedziczone po matce, więc skoro babka mojej matki była Żydówką, to ja też jestem Żydem.

Ojciec zbladł jak ściana. Matka zrobiła zdziwioną minę i lekko zmarszczyła brwi.

– Mam szczerą nadzieję, że Niemcy nie wygrają tej wojny – dodał Percy. – Inaczej nie mógłbym chodzić do kina, a mama musiałaby przyszyć żółtą gwiazdę na wszystkich swoich sukniach balowych.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Margaret uważnie przyjrzała się napisowi na odwrocie i doznała olśnienia.

– Braciszku! – powiedziała z uznaniem. – To twój charakter pisma!

– Nie, wcale nie! – zaprzeczył.

Jednak wszyscy już wiedzieli, że tak. Margaret parsknęła śmiechem. Percy znalazł gdzieś stare zdjęcie jakiejś żydowskiej dziewczynki i wykaligrafował napis na odwrocie, żeby oszukać ojca. Ojciec dał się zwieść, i nic dziwnego: odkrycie takiego mieszanego pochodzenia byłoby z pewnością koszmarem dla każdego rasisty. Dobrze mu tak.

– Ba! – prychnął ojciec i rzucił zdjęcie na stół.

– Percy, doprawdy! – zgaśniła go matka.

Może powiedzieliby więcej, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Bates, kamerdyner o cholerycznym usposobieniu.

– Lunch podany, wielmożna pani.

Opuścili salon i przeszli przez hol do niewielkiej jadalni. Tam, jak zawsze w niedzielę, czekał przypalony rostbef. Matka zje sałatkę: nigdy nie jadała gotowanych potraw, gdyż jej zdaniem wysoka temperatura niszczyła wszystkie składniki odżywcze.

Ojciec odmówił modlitwę i usiadł. Bates podał matce wędzonego łososia. Według jej teorii wędzona, marynowana czy w inny sposób konserwowana żywność była dobra.

– Oczywiście, możemy zrobić tylko jedno – rzekła matka, nakładając sobie rybę z podsuniętego półmiska. Powiedziała to rzeczowym tonem osoby stwierdzającej oczywisty fakt. – Wszyscy musimy wyjechać i zamieszkać w Ameryce, dopóki ta głupia wojna się nie skończy.

Przez chwilę w jadalni panowała cisza.

– Nie! – wybuchła wstrząśnięta Margaret.

– Myślę, że mieliśmy już dość swarów jak na jeden dzień. Proszę, zjedzmy lunch w pokoju i harmonii.

– Nie! – powtórzyła Margaret. Prawie zaniemówiła z oburzenia. – Nie... nie możecie tego zrobić. To nie... to nie... – Chciała nawrzeszczyć na nich, zarzucić im zdradę i tchórzostwo, głośno wykrzyczeć swoją pogardę i protest, lecz zabrakło jej słów i zdołała jedynie wykrztusić: – To nie w porządku!

Nawet to uznano za niedopuszczalne.

– Jeżeli nie potrafisz trzymać języka za zębami – rzekł ojciec – to lepiej wyjdź.

Margaret przycisnęła serwetkę do ust i tłumiąc łkanie, oddepchnęła krzesło, a potem wstała i uciekła z jadalni.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).